ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 19 września 1914 roku. № 38.

Andrzej Strug.

„Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

32

Powieść z obcego życia.

Podczas podróży zbliżyła się na nowo z lady Hartley. Wdowa spędzała u niej długie godziny. Skarżyła się na przedenerwowanie paryżan, na straszliwe zepsucie kosmopolityczne towarzystwa, w którem się obracała w ciągu sezonu.

— Mniejsza o romanse, ale to już niesłychane, żeby kobiety nawet bardzo bogate były w swoich amorach interesowane. Damy z towarzystwa! Mogę wymienić cały szereg nazwisk naszych wspólnych najszanowniejszych znajomych, z któremi i ty i ja spotykałyśmy się ustawicznie! Wiem to od lorda Carson, który zna najświetniejsze towarzystwa Paryża i Europy. Był to bardzo miły starzec. Polubiłam go nawet, ale, wyobraź sobie, okazało się, że bywał on u mnie wyłącznie dla Mariette! Wypędziłam go, ale tymczasem zdążył jej zrobić najhaniebniejszą propozycyę! Wypędzony—oświadczył się listownie o jej rękę. Co za bezczelność! Mariette śmieje się z tego, ale ja długo się nie mogłam uspokoić. Biedna dziewczyna — prześladowano ją strasznie. Czy ty wiesz, Lucy, że kusili ją nieomal wszyscy twoi konkurenci, wyjąwszy, oczywiście, pana Gustawa, który jest idealnym wyjątkiem w swojej sferze. Młody Powell, ten ordynarny parobek, ofiarował jej (o Boże, za trzyletnim kontraktem) całkowite na odpowiedniej stopie utrzymanie i pół miliona pensyi rocznej. Zaś wrazie dojścia do skutku waszego małżeństwa — Lucy, Lucy — co za bezczelność, owa pensya miała być podwojoną! Oczywiście, z twoich pieniędzy...

— I cóż hrabianka?

— Naturalnie, śmieje się z tego i opowiada mi wszystko.

— Mądra. Oczywiście, wyda się dobrze za mąż tam, u nas. Po to jedzie.

— Przenigdy! Ona mnie nigdy nie opuści!

— A jeżeli się zakocha? Mało to prawdopodobne, ale — jeżeli?

— Nieprawda! Nie może się zakochać! Ty nie wiesz, co mówisz, Lucy! To niesłychana, nadzwyczajna istota! Ona wie, że bez niej bym umarła.

Hrabianka de Colardeau źle znosiła podróż pomimo pogody. Skarżyła się na zimno, na trzęsienie statku, stała się kapryśna, nieznośna. Lady Hartley była w rozpaczy, bo Mariette zamykała się w swojej kajucie i nie pozwalała jej nawet opiekować się sobą. Przyzwyczajona do tyranii swej damy do towarzystwa, lady Hartley cichutko i pokornie żebrała u drzwi zamkniętych i rada była, otrzymawszy przez drzwi bodaj parę słów łaskawszych.

Mariette musiała się odosobnić i skupić, ażeby rozważyć i rozstrzygnąć sprawę, od której zależał teraz cały jej los. Nie dali jej nawet paru tygodni czasu do namysłu. Wojna, która jej wypowiedziano, spadła na nią niespodziewanie, jak grom z jasnego, ach, z pogodnego nieba!

Życie przypomniało jej swoją prawdą — że niedość jest walczyć i wywalczyć coś. Nie mniej sił, nie mniej mądrości i jeszcze więcej chytrego czuwania trzeba zużyć na to, by zdobytą pozycyę utrzymać i obronić. Albowiem prawdą wojny i prawdą życia jest: wróg nigdy nie śpi.

Mariette nie traciła energii na wyrzekanie i złorzeczenie. Nie przeklinała swoich wrogów, nie wpadała w ponurą apatyę. Myślała o obronie, zebrała się i gotowa była walczyć do upadłego. I całą wolą chciała zwyciężyć.

Nierówna to była walka. Z tamtej strony liczna, przebogata rodzina zmarłego sir Hartleya, adwokaci, prasa, wreszcie cnota i prawo. Cała ta armia już zmobilizowana czeka na nią na tamtym brzegu. Zapowiedziano jej najwyraźniej, że tam już nie myślą zwlekać z rozpoczęciem kampanii. Jedzie tam samotna i bezbronna. Jedzie tam ze swoją złowrogą, uderzającą urodą, która będzie ją oskarżała, że swoim grzechem, który, jak ją poinformowano, jest powszechnie wiadomym. Za jedynego sojusznika ma swoją „panią", która ją ubóstwia szczerze i żyć bez niej nie może — ale na samą myśl o wielkiej, jawnej kampanii, mającej na celu odebranie jej mężowskiego majątku, opuści ją, zdradzi haniebnie... Każdy obrót śruby zbliża ją do fatalnego momentu, gdzie powitają ją ludzie bezwzględni, zimni i okrutni — jak ów nasłany przez nich mądry złoczyńca, który rozmawiał z nią w Paryżu na samem już wyjezdnem.

Mariette aż dotychczas nie mogła się jeszcze opamiętać po tej strasznej konferencyi.

Schwytano ją w ohydną zasadzkę, najniespodziewaniej i to gdzie, w domu ojca! Poczciwy starowina, zdziecinniały hrabia z całą powagą i serdecznością przedstawił jej dwóch najpoważniejszych starych panów, z których jednego, barona de Dambriers, nazwał swoim starym przyjacielem.

— Mariette, jesteś jeszcze dzieckiem, a obracasz się w świecie, gdzie zewsząd czyhają na ciebie niebezpieczeństwa. Szczęśliwy przypadek zdarzył, że baron wykrył cały spisek, jaki uknuto przeciwko tobie. Ci niegodziwi amerykanie! Nienasyceni chciwcy! Krewni męża znowu prześladują tę tragiczną madame Hartley, a przypuszczając, że masz na nią niemały wpływ...

I stary hrabia wycofał się dyskretnie z gabinetu, zostawiwszy ich sam na sam, zaleciwszy córce, żeby słuchała rady życzliwych jej przyjaciół. Biedny, naiwny papa! Postawił ją w obliczu wroga, zupełnie nieprzygotowaną, oddał ją bezbronną w ich ręce... Papa zawsze był lekkomyślny — ale czyż inaczej by postąpił ojciec, który byłby ich wspólnikiem?

Propozycye barona były uderzająco bezwstydne. Człowiek ten

rozważał rzeczy najohydniejsze językiem najpoprawniejszym, groził ze spokojnym, życzliwym uśmiechem, targował się bezczelnie a w tonie proszącym, niemal zalotnym. Ów drugi, który siedział przez cały czas prawie nie mówiąc, a zdawał się jej być w tej sprawie główną figurą, miał w oczach zimną obojętność, jak kat. Świdrował w niej temi strasznemi oczyma, a baron gadał.

Nie mogła przerwać tej męki — bo bała się popsuć sprawę. Bała się mówić i bała się milczeć. Mąciło jej się w głowie, zatracała się możność i zdolność jakiegokolwiek ujęcia i zrozumienia tego, tak okropnie prostego faktu. Zawiodła cała jej mądrość, z której była dumna, urywał się tryumf zaledwie zakosztowany.

— Co mnie czeka? — myślała ze zgrozą.

Ale zamiast rozpaczy porywała ją zawzięta, szalona energia. Za wszelką cenę chciała zwyciężyć. Nie chce i nie może żyć inaczej. Wzniosła się już tak wysoko, że lepiej zginąć w walce, niż dać się zepchnąć ze swojej wyżyny. A była ona dopiero wstępem do prawdziwej wielkości, o której nie marzyła, ale dążyła planowo, niezłomnie, dla której poświęciła wiele i tyle już zniosła...

Miała przed sobą dwie drogi. Albo ustąpić i opuścić swoją panią i z tem, co od niej już dostała i co wyciągnie jeszcze, zacząć wspinać się na nowo na straszny szczyt. Zachowa czystą opinię i może zdobyć męża, godnego jej urody i ambicyi i spotka się, jak równa z równemi, ze sferami, gdzie była dotychczas jeno damą do towarzystwa, na którą wolno było każdemu mężczyźnie patrzeć bezczelnie, i której każdy brutalnie i bezkarnie ofiarowywał te lub inną cenę, jak kobiecie publicznej.

A kiedy się podda i wytargowawszy, ile tylko będzie można, zdradzi swoją panią, będzie miała odrazu własny jaki taki majątek i po rozgłośnym procesie stanie wobec świata w aureoli niesłychanego skandalu, ze stygmatem przewrotnego zepsucia. Wówczas będą się o nią dobijali. Zasypią ją złotem. Będzie pierwszą kurtyzaną świata. Będzie panowała.

Któreż panowanie wybierze? Które jest bardziej królewskie?

Rozważała to pracowicie w zupełnej samotności, bez niczyjej rady, pytając się jeno swojej mądrej, nienasyconej żądzy.

Trzeciego dnia podróży wyszła ze swojego zamknięcia, po dawnemu uprzejma i ożywiona. Lady Hartley była znowu szczęśliwa i wniebowzięta. Wybrały się z nudów na zwiedzanie statku. Wyznaczony oficer oprowadził je wszędzie, płaszcząc się w uprzejmości przed wdową i pożerając oczami cudną francuzkę.

Oglądały wszystko po kolei. W bibliotece pierwszej klasy oficer długo objaśniał coś lady Hartley na olbrzymiej mapie morskiej, rozwieszonej na ścianie a Mariette machinalnie przewracała na stole jakieś pismo ilustrowane. Ktoś podsunął jej uprzejmie świeży numer „Illustration". Spojrzała i drgnęła.

Baron de Dambriers, stary przyjaciel ojca, podawał jej pismo i szeptał z uśmiechem:

— Nie obawiaj się pani — ja z pani sprawą nie mam nic wspólnego. Byłem zwyczajnym pośrednikiem i rola moja skończona. Jadę zupełnie przypadkowo. Możesz mi zaufać. Jako stary przyjaciel ojca pani radzę: żądaj trzech milionów i nie ustępuj! Dadzą. Ja wiem, że dadzą! Baron de Dambriers ci to mówi!

Mariette błysnęła oczami z oburzenia i chciwej radości. Nie odpowiedziała ani jednem słowem. Oglądały dalej parowiec. Kolosalne machiny, żarem bijące kotłownie, gdzie tłum półnagich, osmolonych palaczy zwijał się w tumanach pyłu węglowego, w czerwonej łunie, bijącej od pieców, wśród turkotu wagoników, rozwożących węgiel, i zgrzytu łopat, wśród ochrypłego śpiewania, klątw i zgiełku, w wyziewach potu i odorze siarki i sadzy.

Lady Hartley patrzyła na to widowisko w strachu i przerażeniu, jak zawsze, ilekroć stykała się oko w oko z ponurą i brutalną rzeczywistością. Obce jej były wielkopańska litość lub kobiece współczucie dla wydziedziczonych. Ogarniał ją jakiś nerwowy popłoch. Jej istota wyczuwała nieświadomie straszliwą nienawiść, która biła ku niej od tego tłumu niewolników. Oczekiwała lada chwila, że ich zajadła, tajona nienawiść przerwie nareszcie niedostrzegalną nić, broniącą ją od tego świata. Zalecie ją i zmiażdży nawała zbuntowanego motłochu.

Była odurzona zgiełkiem i brutalną ohydą ciężkiej pracy. Nie mogła się powstrzymać i krzyknęła cienko i przenikliwie, kiedy półnagi, świecący od potu palacz błysnął ku niej z blizka białkami oczu z usmolonej na czarno twarzy. Chwyciła się ramienia Mariette i dygotała. Dziewczyna wyniośle i obojętnie wodziła swemi cudownemi oczyma po tym obrazie piekła. Dla niej było ono zupełnie proste i naturalne, nawet piękne. Miło jest widzieć tłumy skazanych na wieczną, ciężką pracę. Miło patrzeć w zawzięte oczy, ciskające na nią spojrzenia, pełne krzywdy i żądzy.

W takich momentach czuła najrozkoszniej swoje wyniesienie, boskość swego życia. Obrazy te były jakby miarą jej wielkości.

Przez nieskończone, kręte, żelazne schody grzeczny oficer prowadził je z powrotem ku górze. Przez żelazne drzwi weszły w szeroką, olbrzymią halę, gubiącą się w oddali, jak we mgle. Szeregi żelaznych słupów podpierały nizką powałę. Wionął w nie gwar tysiąca ludzi, zgromadzonych w ciasnocie. Ścisnęło je ciepłe, duszne powietrze. Dym tytuniowy, wyziew starych szat i brudnych ludzi, nieznośny, zastarzały zaduch, jakgdyby to nie było wśród przestrzeni przeczystych słonych wód, na wolnym, jędrnym wietrze, a gdzieś w otchłani wielkiego miasta, w głębi długawego zaułka jakiejś ubogiej dzielnicy.

Przechodziły szybko, mijając z obu stron szeregi tapczanów, na których leżeli i siedzieli ludzie. Mijały zagrody, w których matki niańczyły i przewijały niemowlęta. Śmiechy, ziewania, podniesione głosy kłócących się ludzi, jakieś głuche, tęskne i obce śpiewy, dźwięki gitary i harmonijek.

Zewnątrz buchał przykry odór. Obrzucały je spojrzeniem roztargnionem setki oczu znudzonych a niespokojnych, jakgdyby na coś wyczekujących w poddaniu a niecierpliwej. Kilka kobiet, które snać kłóciły się już oddawna, napadły na grzecznego oficera ze skargami, z zachrypłym krzykiem, z gwałtownemi gestami. Szybko trajkotały coś jedna przez drugą w niezrozumiałym języku.

Oficer tupnął nogą i wrzasnął. Uprzejmym ruchem, chcąc dać wolne przejście damom, odepchnął z drogi jakąś czarną, rozognioną megierę, aż się zatoczyła i z zamachem usiadła na poblizkim tapczanie na kolanach siedzącego tam draba. W jednej chwili objęły ją jego ramiona i zacisnęły się pod piersiami. Gruby śmiech zapanował wokoło.

— Już nie chcę... Niech nas pan zaraz wyprowadzi! To okropni ludzie i co za niesłychane powietrze! Wszystko tu brudne, cuchnące!

— Emigranci, miladi, zbieranina całej Europy. Za każdym razem jedzie najwięcej włochów i żydów. Na tych nie pomogą żadne przepisy ani kary, żadne hygieniczne urządzenia. Niewiadomo którzy gorsi. Przewożą za morze swój brud i odór i bronią go, jak skarbu. Ha, ha, ha... Wielu z tych, których panie tu widzą, jadą z nadzieją na amerykańskie miliony.

Lady Hartley nie patrzyła już na nic, szła z przymkniętemi oczyma, nie mogąc oddychać z odrazy i bojąc się złych, znudzonych spojrzeń, które prześladowały ją uparcie i wytrwale, jakgdyby ci ludzie podawali ją sobie oczyma przez całą długość hali.

Każde oczy mówiły jej to samo, jakgdyby tłum objęty był porozumieniem i spiskiem i groził każdej chwili jej i wszystkim jej podobnym.

Odetchnęła na wolnem powietrzu.

— Czy załoga statku jest przygotowana na wypadek buntu ze strony tych ludzi? Czy macie broń? Czy tu jest jakaś policya?

Oficer zaśmiał się uprzejmie ale serdecznie, a lady Hartley uspokoiła się dopiero, przechodząc przez olbrzymi, wspaniale urządzony salon pierwszej klasy, gdzie właśnie mnóstwo wygalonowanych stewartów przybierało stoły do lunchu.

DCN.

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

Powieść w 3-ch tomach.

Ale nie dosyć na tem.

Ojciec mój, który, jak pisały dzienniki, przyjął wiadomość o mojem zniknięciu w sposób, budzący obawy o jego zmysły, doszedłszy do przekonania, że działałam pod wpływem chwilowego obłędu (zdarzającego się nieraz u kobiet w odmiennym stanie), wyznaczył pięćset funtów nagrody za wiadomość, mogącą posłużyć do odnalezienia mnie, co było nietylko pożądanem ze względu na zbolałą rodzinę, lecz nieodzowne dla tytułu i dziedzictwa.

Dalej następował opis mojej powierzchowności: *„Lat dwadzieścia, wzrost mniej, niż średni, szczupła, bardzo czarne włosy, regularne rysy, wyraz twarzy poważny, uśmiech niezwykle słodki"*.

Wszystkie te opisy czytywali głośno naprzemiany: stary pułkownik i staruszek z brodą, a we mnie dusza zamierała, noże i widelce latały mi w rękach na myśl, że przecież to niepodobna, aby tym ludziom wreszcie nie otworzyły się oczy na tak namacalną prawdę.

Oni jednak byli tak pochłonięci swojemi sprawami, że nic ich pozatem nie obchodziło.

Udręczenie moje zwiększała ta okoliczność, że nie miałam przybliżonego nawet pojęcia, jak daleko sięgała władza rodzicielska, i czy w razie wykrycia mego schronienia, ojciec mógłby mnie przemocą sprowadzić do Ellanu, więc poprostu włosy stawały mi na głowie z obawy, że wynikną wtedy zatargi pomiędzy moim ojcem a mężem na tle nieprawego pochodzenia mego nieurodzonego jeszcze dziecka i że nazwisko Jurka będzie w to wmięszane i obrzucone błotem.

Jakże nie była płonną ta obawa.

Wkrótce po ogłoszeniu nagrody za odszukanie mnie, pojawiły się w pismach wzmianki, przebąkujące o powodach mojej ucieczki, przyczem w bardzo przejrzysty sposób napomykano o zainteresowanej w tej sprawie osobie pewnego młodego eksploratora, który niedawno odpłynął na czele podbiegunowej wyprawy.

To było straszne.

Z dnia na dzień zdenerwowanie moje wzrastało. Doszło do tego, że za każdem otwarciem drzwi podskakiwałam na krześle i oglądałam się wystraszona, czy to policya po mnie nie idzie.

Jednakże nikt na to nie zwracał uwagi, prócz chyba właścicielki pensyonatu. Ta nic nie mówiła, lecz gdy pułkownik czytał ową wzmiankę o Jurku, a mnie usta poczęły się trząść, jak w febrze, spostrzegłam, iż jej szare oczki śledzą mnie zukosa.

Pewnego popołudnia siostra jej, modniarka, przyszła mnie odwiedzić, stosownie do danej obietnicy. I ona również nie dała mi poznać po sobie, lecz gdy pułkownik i staruszek z brodą zaczęli opowiadać o czyjemś zniknięciu przed tysiącem lat, wpatrzyła się we mnie tak badawczo i z takim szczególnym wyrazem, iż nagle błysnęła mi myśl, że ta kobieta znosi się listownie z moim ojcem.

To przypuszczenie stopniowo zmieniło się w pewność; tak mnie zmiażdżyło, że pod pozorem niezdrowia (co zresztą było prawdą) nie zeszłam na obiad i nawet nie tknęłam jedzenia, które mi na górę przysłano.

Nazajutrz zrana moja gospodyni przyszła zapytać mnie, czy skoro, jak wnosi z mego nazwiska, jestem irlandka i katoliczką, miałabym chęć zobaczyć siostrę miłosierdzia, która bywa w pensyonacie od czasu do czasu dla pielęgnowania chorych.

Odgadłam natychmiast, że to jest podstęp, lecz czując, że mnie podejrzewają, zgodziłam się na te odwiedziny, by odmową nie naprowadzić jeszcze bardziej na ślad moich prześladowców.

Wstałam więc, ubrałam się i stanęłam, plecami zwrócona do okna, krzepiąc się do walki, gdy zapukano zlekka.

— Proszę! — zawołałam cała drżąca.

I tu stała się rzecz nadzwyczajna.

Szczupła kobieca postać weszła spokojnie do pokoju, zamykając drzwi za sobą. Ubrana była w czarny z białem habit Ubogich Siostrzyczek, lecz poznałam ją natychmiast po jej długiej, bladej, pospolitej twarzy, i fala wstydu a jednocześnie ogromnej radości zalała mi duszę na jej widok.

To była Mildred Bankes.

Rozdział LXXIII.

— Mary! — rzekła Mildred — mów cicho i opowiedz mi wszystko.

Usiadła w fotelu, a ja uklękłam obok, wzięłam jej rękę w obie dłonie i zaczęłam mówić.

Powiedziałam jej, że uciekłam z mężowskiego domu, bo nie mogłam pozostać tam dłużej.

Powiedziałam jej, że ojciec wydał mnie za mąż wbrew mojej woli, że nie kochał mnie nigdy, że poświęcił moje szczęście swojej ambicyi, i że, jeżeli szuka mnie teraz, to jedynie dlatego, że moje zniknięcie pokrzyżowało mu plany.

Powiedziałam jej również, że mąż ożenił się ze mną jedynie z najnikczemniejszego wyrachowania dla zapłacenia długów i zapewnienia sobie znacznych dochodów, że nietylko nie kochał mnie, ale romansował z inną, był dla mnie okrutnym i brutalnym, i że dlatego (jak również i dla innych powodów) pod żadnym pozorem wrócić do niego nie mogę.

— Ależ, drogie dziecko, — rzekła Mildred, gdy skończyłam — mnie mówiono, że rodzina twoja rozpacza po tobie, że straciłaś zmysły i że spełni dobry uczynek, kto cię do domu odstawi.

— To nieprawda! To nieprawda! — zawołałam.

Wówczas Mildred zniżonym głosem, jakby lękając się być podsłuchana, opowiedziała mi, jakim sposobem znalazła się tutaj.

Modniarka, z którą jechałam z Liverpoolu, wyczytawszy o nagrodzie, napisała do mego ojca, że wie, gdzie się znajduje, lecz żąda, żeby ktoś mógł stwierdzić tożsamość mojej osoby. Ojciec mój chciał jechać do Londynu, lecz doktór mu zakazał; wtedy nasz proboszcz, Ojciec Dorioran, ofiarował się wyręczyć go w tem, lecz mu zakazał biskup; wreszcie ojciec mój napisał do londyńskich prawników, a Ojciec Dan do Mildred, wiedząc, że byłyśmy razem u Sercanek w Rzymie i że ona właśnie ma do czynienia z młodemi kobietami, znajdującemi się w podobnem do mego położeniu.

— A teraz prawnik i doktorzy czekają na dole, — dodała szeptem — by stwierdzić tożsamość twojej osoby i by mogli na mocy odpowiedniego upoważnienia odesłać cię do domu.

Ta wiadomość przeraziła mnie w najwyższym stopniu.

— Och! Mildred! Mildred! ocal mnie! — zawołałam błagalnie.

— Jakże ja mogę! Jak mogę? — odpowiedziała.

Więc, aby ją jeszcze bardziej zjednać dla mojej sprawy, powiedziałam jej, że uciekłam z domu nietylko dlatego, że mąż był dla mnie okrutnym i brutalnym, lecz że kocham kogoś innego, że ten ktoś jest teraz bardzo daleko, że niema takiej nędzy, takich upokorzeń, takich cierpień, jakich bym dla niego nie zniosła, że, gdy wróci, zaopiekuje się mną i będziemy się kochali póki życia.

Gdybym nie była tak wzruszona, była bym wnet spostrzegła, że to nie była droga trafienia do serca Mildred i dopiero, wypowiedziawszy wszystko jednym tchem, domyśliłam się po wyrazie jej osłupiałych oczu.

— Ależ, dziecko drogie, — rzekła — toż ja dowiaduję się coraz gorszych rzeczy. Twój ojciec i twój mąż mogli zawinić względem ciebie, ale i ty bez winy nie jesteś.. Czyż tego nie pojmujesz?

Nie odpowiedziałam jej, że zastanawiałam się nad tem wszystkiem dniami i nocami, i że już nie wierzę, by Bóg chciał mnie karać za złamanie wiary, którą pod przymusem zaprzysięgłam. Ale gdy Mildred wstała, mówiąc, że po tem wszystkiem, czego się dowiedziała, uważa za swoją powinność odesłać mnie do domu, nim wróci ten, który doprowadził mnie do zapomnienia o swoich obo-

wiązkach żony, przytrzymałam jej drżące ręce i szepnęłam:

— Poczekaj, Mildred. Nie wiesz jeszcze wszystkiego. Ja ci jeszcze coś wyznać muszę.

— Cóż więc? — zapytała, lecz ja z wyrazu jej twarzy odgadłam, że już wie, co powiem.

— Mildred, — rzekłam — jeżeli uciekłam z domu mego męża, to nietylko dlatego, że kocham innego, lecz że...

Nie mogłam dokończyć. Słowa uwięzły mi w gardle i nie mogłam. Lecz takie święte niewiasty, jak Mildred, które żyją wśród upadłych i nieszczęśliwych, umieją czytać w sercu kobiety, choć usta tamtej milczą.

— Czy... czy to znaczy, że oczekujesz następstw?... — szepnęła.

— Tak.

— A mąż twój wie o tem?

— Wie.

— A ojciec?

— Nie!

Mildred wysunęła rękę z moich dłoni i przeżegnała się, szepcząc:

— O, Matko Najświętsza!

Upokorzyło mnie to bardziej, niż cokolwiek dotychczas, po chwili jednak rzekłam:

— Widzisz więc, że nie mogę wrócić do męża. I ocalisz mnie, prawda?

Nastąpiło milczenie. Mildred osunęła się na krzesło. Wreszcie rzekła:

— Nie mnie sądzić ciebie, Mary. Ale przyjdą tu ci panowie dowiedzieć się, czyś jest tą Mary O'Neill, którą znałam u Sercanek, a wtedy, cóż ja im powiem?

— Powiedz, że nie! — zawołałam. — Cóż ci to szkodzi? Oni nie będą wiedzieli. Nikt się nigdy nie dowie.

— Nikt?

Pojęłam, co Mildred przez to rozumie i, pragnąc znaleźć dla siebie jakieś usprawiedliwienie, zaczęłam jej mówić o kochance mego męża.

— Znasz ją. To Alma.

— Alma? Alma Lier?

— Tak.

I opowiedziałam jej, jak Alma stanęła znów na mojej drodze, jak mnie dręczyła i karała, i jak teraz będzie namawiała mego męża, który jest protestantem, by rozwiódł się ze mną, a ją zaślubił.

A potem zaczęłam znów mówić o Jurku i o tej straszliwej nad wszystko dla mnie myśli, że Alma będzie teraz pracować nad tem, by okryć hańbą jego imię.

— A gdybyś ty go znała, — dodałam — gdybyś wiedziała, jak go świat ceni i jak się nim chlubi, zrozumiałabyś, że wolałabym umrzeć sto razy, niż ściągnąć na niego pogardę i nieszczęście.

Zauważyłam, że te słowa moje wzruszyły Mildred i choć nie miałam zamiaru grać na jej uczuciach, jednak w egoizmie mojej wielkiej miłości bezwiednie uderzałam w tę strunę

— Byłaś moją najpierwszą przyjaciółką, Mildred. Pamiętasz to pierwszy dzień mego pobytu w klasztorze? Oderwali mnie od mojej najdroższej matki; byłam tak małą i opuszczoną, a ty wtedy okazałaś mi tyle dobroci i życzliwości. Pamiętasz?

Mildred przymknęła oczy i zbladła.

— A pamiętasz ten dzień, kiedy przyszła wiadomość, że moja matka zachorowała ciężko, a ja miałam wracać do domu? Odwiozłaś mnie na pociąg, i czy nie pamiętasz, coś mi powiedziała, gdyśmy siedziały w przedziale. Powiedziałaś, że zapewne nie spotkamy się już nigdy, bo tak odmiennie układają się nam warunki życia. O! gdyby kto był powiedział wtedy, że się *tak* spotkamy!

Mildred bladła coraz bardziej.

— Moja ukochana matka umarła. Była mi wszystkiem na świecie, tak, jak ja byłam dla niej wszystkiem, a po jej śmierci nie było dla mnie miejsca w rodzicielskim domu i odesłano mnie do klasztoru. Ale Wielebna Matka przygarnęła sierotę i tak mi tam było dobrze, iż wkońcu sama chciałam zostać mniszką. Tak, Mildred; a nigdy to pragnienie nie ozwało się tak silnie w mojej duszy, jak w dzień twoich obłóczyn.

Mildred siedziała wciąż z zamkniętemi oczyma, lecz powieki jej drgały, a oddech stawał się coraz szybszy.

— Och! jak ja to dobrze pamiętam! Ten cudny, letni poranek i to słońce złote, i białe kwiaty, i białą kaplicę Ubogich Siostrzyczek, i ciebie w ślubnym stroju! Płakałam pod czas całego tego obrzędu. I gdyby mój ojciec nie był przyjechał po mnie dnia tego, to może byłabym dziś tak samo, jak ty, zakonnicą.

Usta Mildred poruszały się ciągle. Modliła się zapewne o siłę oparcia się moim błaganiom, lecz ja błagałam ją tem goręcej.

— Bóg jednak wie lepiej, do czego jesteśmy stworzone — mówiłam dalej. — Ja byłam stworzona do miłości. I choć ty w to może nie uwierzysz, ja jestem głęboko przekonana, że Bóg wie, iż prawdziwym moim mężem jest nie ten, za którego mnie wydano, lecz ten, który odjechał. Nie rozłączysz nas, prawda? Szczęście moje i jego jest w twoich rękach. Ocalisz nas, prawda?

Mildred nie odpowiedziała zrazu, a mnie te kilka chwil jej milczenia wydały się wiecznością. Nie przypuszczałam jednak, że milczy, bo jej tak strasznie ciężko zgasić we mnie ostatnią iskierkę nadziei. Wreszcie rzekła:

— Mary, nie wiem, czego żądasz odemnie. Składając śluby, przysięgłam, że będę mówić zawsze prawdę, bez względu na jej następstwa, tak, jakgdybym odpowiadała samemu Stwórcy w dzień Sądu Ostatecznego. A ty żądasz, żebym skłamała? Czyż to możliwe? Pomnij na moje śluby, na mój obowiązek.

Zerwałam się z klęczek. Myśl, że jedno, jedyne słówko, powiedziane tym czekającym na dole pełnomocnikom mego ojca, może mnie ocalić, a Mildred tego słówka wyrzec nie chce, lecz gotowa jest wydać mnie w ręce moich prześladowców, doprowadzała mnie do szału. I wybuchnęłam potokiem namiętnych wyrzutów.

— O! wy, pobożnisie, wy zawsze tylko o obowiązku prawicie! — wołałam, trzesąc się cała, jakgdyby mnie szatan oplątał. — Miłość dla was nie istnieje. Miłość jest dobrotliwa i miłosierna, a wy znacie tylko twardy, nieubłagany obowiązek. Miłość! Co wy wiecie o miłości, wy, klasztorne istoty, obwieszone krzyżami i różańcami, o tem uczuciu potężniejszem nad wszystko inne, które sprawia, że kochająca kobieta oddałaby za swego ukochanego nietylko krew serdeczną, lecz nawet własną duszę!

Nie pamiętam, com więcej mówiła; w głowie mi się mąciło; wreszcie, zadyszana, umilkłam, wtedy spostrzegłam, że Mildred siedzi nieporuszona z twarzą ukrytą w dłoniach i płacze.

Widok jej łez, cicho sączących się przez palce, tak mnie wzruszył, że byłabym rzuciła się jej w objęcia, ale nie śmiałam. Natomiast uklękłam znów przy niej.

— Przebacz mi, siostro, — rzekłam. — Widzę teraz, że sam Bóg sprowadził cię na moją drogę i że niema na to rady. Czyń, co uważasz za sprawiedliwe, a ja będę wiedziała, że nie mogłaś postąpić inaczej. I *On* to będzie wiedział także. A jeżeli już sądzonem jest, żeby hańba spadła na niego przezemnie i jeżeli, wróciwszy, zastanie...

Nie mogłam dokończyć i opuściłam głowę na kolana Mildred.

W tej samej chwili usłyszałam stąpanie na schodach.

— To oni — rzekła Mildred. — Wstań. Nic nie mów. Mnie wszystko zostaw.

Wstałam szybko i stanęłam znów plecami do okna. Mildred obtarła oczy i powstała także.

Zapukano do drzwi. Nie wiem, która z nas odpowiedziała „proszę" i wślad za tem weszła właścicielka pensyonatu, a za nią trzech mężczyzn w czarnych jedwabnych cylindrach.

— Przepraszam drogą panią — rzekła gospodyni z obłudnym uśmiechem. — Ci panowie oglądają dom dla remontu i chcieli widzieć także ten pokój. Czy można?

Skinęłam głową i stałam, powstrzymując oddech w piersiach. Mężczyźni zaczęli niby rozglądać się po pokoju, ale widziałam, że patrzą na Mildred. Oczy ich pytały wyraźnie:

— Czy to ona?

Mildred zawahała się chwilę — chwilę straszliwą! — poczem—niech jej Najświętsza Panna błogosławi! — wstrząsnęła przecząco głową.

Mężczyźni popatrzeli na siebie z pewnem zdziwieniem i zamienili parę obojętnych zdań.

— Widocznie nie mamy tu co robić!

— Widocznie!

— Chodźmy zatem. Do widzenia, siostro. Przepraszamy za najście.

Drzwi zamknęły się za nimi. Chwilę jeszcze słychać było ich kroki i głosy na schodach, poczem wszystko ucichło. Wówczas z sercem przepełnionem wdzięcznością chciałam rzucić się do nóg siostry Mildred.

Ale siostra Mildred klęczała już sama i, ukrywszy twarz w poduszkach mego łóżka, modliła się żarliwie.

Rozdział LXXIV.

Nie wiedziałam wtedy i nie uważam za potrzebne wspominać teraz, z jakich powodów ojciec zaprzestał poszukiwać mnie w Londynie. Dość, że od owej nieudanej próby z modniarką uczułam się swobodniejszą.

Ale ta swoboda wielce była podobną do zupełnego opuszczenia.

Siostra Mildred była jedyną przyjazna mi duszą w Londynie, ale nie widywałam jej wcale. Ponieważ zadaniem jej było naprowadzać na drogę uczciwą zbłąkane kobiety, mieszkała w pobliżu Piccardchy, pod strychem wysokiej kamienicy, a jej oświetlone okno przypominało mi zawsze latarnię morską, stróżującą nad krawędzią niebezpiecznej rafy.

Mildred wprawdzie zostawiła mi swój adres, ale zastrzegła, bym nie przychodziła do niej, chyba wrazie naglącej potrzeby, poczęści dlatego, by dalsze stosunki pomiędzy nami nie wzbudziły podejrzeń co do prawdziwości jej zeznania, a poczęści, że nie byłoby dobrze dla mnie, gdyby mnie miano za „jedną z dziewczyn Siostry Weroniki", takie bowiem było jej imię zakonne.

Znalazłam się więc zupełnie osamotniona.

Zapewne wiele podobnych mnie samotnic błąkało się przedemną po ulicach tego olbrzymiego miasta i błąkać się będzie po mnie, gdy jednak rozważam wszystkie okoliczności mego położenia, dochodzę do przekonania, że pod wielu względami było ono zupełnie wyjątkowe i jedyne w swoim rodzaju.

Nie mogłam przesiadywać ciągle w moim pokoju, gdzie, bądź co bądź, najbezpieczniejsza się czułam, raz dlatego, że takie bezczynne i wszelkiego ruchu pozbawione życie, jak moje, fatalnie oddziaływało na moje zdrowie, a powtóre, że mogło się to wydać podejrzanem moim współlokatorom, którzy codziennie wychodzili to na spacer, to za jakiemiś interesami.

Wychodziłam więc i ja, lecz zawsze w śmiertelnej trwodze, że mogę gdzieś niespodzianie natknąć się na mego męża lub którego z jego przyjaciół. Nic też dziwnego, że ta ciągła obawa, w połączeniu z bezcelowością moich wycieczek, zmieniła je w wyrafinowane katusze. Bo jedyny cel, jaki bym sobie znaleźć mogła, przestał dla mnie istnieć. Oto, od owej pamiętnej nocy na Zamku Raa wmówiłam w siebie, że nie mam prawa przestępu progu Świątyni Pańskiej i zaprzestałam chodzić na mszę i do spowiedzi.

W ten sposób minęło sześć tygodni, długich, jak tyleż wieków. Nadchodziło Boże Narodzenie i pod tchnieniem tego radosnego święta nawet stary, posępny Londyn odmłodniał i poweselał.

Pewnego dnia nad wieczorem, wracając do domu, ujrzałam przez otwarte drzwi katolickiego kościoła oświetloną rzęsiście boczną kaplicę, a w niej woskową grupę, przedstawiającą Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem w żłobku na sianie. Gromada obszarpanych dzieciaków przyglądała się temu, szepcąc pomiędzy sobą, a zakrystyan w czerni potrząsał kluczami, by je utrzymać w ryzie.

Przypomniał mi się Rzym i klasztor, ale przypomniał mi się także Jurek i to, co mówił na owym obiedzie, wydanym na jego cześć, jak odprawiał nabożeństwo z towarzyszami na podbiegunowem pustkowiu, by mu się zdawać mogło, że nie są zupełnie odcięci od chrześciańskiego świata.

Może i teraz się to powtórzy, myślałam, a myśląc tak, postanowiłam pójść na mszę w dzień Bożego Narodzenia, by w ten sposób zespolić się z Jurkiem.

Wieczór był mglisty i chłodny, zciemniało się już na dobre, gdy od strony Strandu wypadła gromada roznosicieli wieczornych pism, wykrzykujących na różne tony nazwy swych dzienników.

Zazwyczaj nie zwracałam uwagi na te wrzaski, ale tym razem było w nich coś, co spadło na mnie, jak grom:

„Dodatek nadzwyczajny. Zaginiona Scotia!"

Zdrętwiałam i stanęłam w miejscu, jak wryta. Publiczność dokoła mnie rozkupywała dodatki i ja chciałam uczynić to samo. Ale nie mogłam dobyć głosu z krtani, i roznosiciel pobiegł dalej, krzycząc:

„Dodatek nadzwyczajny! Zaginiona Scotia!"

Inni przelatywali koło mnie z tem samem strasznem wołaniem, lecz ja nie śmiałam już zażądać dziennika. Poprostu nie śmiałam. Nie śmiałam zobaczyć tej okrutnej prawdy, wydrukowanej czarne na białem.

Zaczęłam tylko iść spiesznie ku domowi, a za mną, przedemną, z boku leciały, niby furye, krzyki roznosicieli:

„Dodatek nadzwyczajny! Zaginiona Scotia!"

Nawpół żywa, ledwo trzymając się na nogach, dopadłam drzwi pensyonatu i zadzwoniłam. Lecz, nim lokajczyk zdążył mi otworzyć, dwóch roznosicieli przebiegło przez skwer, wrzeszcząc:

„Dodatek nadzwyczajny! Zaginiona Scotia!"

DCN.

Adolf Nowaczyński.

Było to nad Bałtykiem.

(Bergsohn & Bergson).

6 **Krotochwila w 3-ch odsłonach.**

Drzwi szklane z prawej otwierają się i staje w nich uradowany, pewny siebie pan Papkind. Za nim z bezgranicznie pogardliwą miną wysoki oficer z monoklem w oku, von Donnersburg.

Witzewitz i radca skupili się z boku i szepczą pomiędzy sobą; są niepocieszeni, przygnębieni.

PANI LALA *(ocknąwszy się z desperacyi, śmiało).* Tak... Może być. Ten kostyum był kupowany u Bergsohna w Gdańsku *(ironicznie).* To jest *made in German!*

KSIĄŻĘ *(zamykając aparat).* Tjaja... A widzi pani! Na also... Odgadłem... *(pokazując aparatem na plakat Kupferberg-Gold).* O, widzi pani: Kupferberg-Gold to jest także szampan made in German!... A przecież jabym nim nawet stajni nie pozwolił szorować!... *(nastawia znów aparat w stronę morza)* nawet stajni!...

PANI LALA *(nieporadnie, bąka nieśmiało).* Tak... tak... zapewne... Być może...

WITZEWITZ *(stanął tuż obok, próbuje interweniować).* Ale ten kostyum zdaje się bardzo wygodny do pływania...

KSIĄŻĘ *(bagatelizująco).* Ech, pani Karpińska pewnie nie pływa... Pani za mizerna na to... za szczupła. Hę?...

PANI LALA *(boleśnie).* Tak jest! Wasza Książęca Mość raczył odgadnąć. Ja nie umiem pływać.

HUTTEN *(wtrącając się, energicznie).* Ale jedna z pań podobno pływa po mistrzowsku?... z pań z Warszawy...

KSIĄŻĘ *(zaciekawiony).* Aż po mistrzowsku? Nanu!

KARPIŃSKA *(przekornie).* A tak. Całkiem po mistrzowsku *(wskazuje na szybę).* Oto tam, pani Śledzińska!... O ta...

KSIĄŻĘ *(bardzo zaciekawiony).* Która to? która?

KARPIŃSKA *(przychodząc do sie-*

bie). O ta tutaj... teraz blizko... blondynka w czarnym kostyumie.

Ziutek przerwał swą pracę i patrzy z zaciekawieniem na morze.

HUTTEN *(patrząc za szybę).* Architektur tadellos!...

KSIĄŻĘ *(dostrzegł wreszcie, z zachwytem).* Potz-Blitz! Sapristi! Istotnie! Venus Kallipygos. Co za grzbiet pyszny! Donnersburg! pan widzisz? A te uda!

Wysoki oficer kiwa głową, chrząknął.

HUTTEN *(poprawiając szybko).* Tak, tak... uda... Udała się! Ja... tę Syrenę widziałem nawet pływającą!... Damen Meisterschaft!...

Książę Otto szybko nastawia aparat w stronę pani Śledzińskiej za szybą. Ziutek przerwał sobie portretowanie księcia i na osobnej karcie teraz szybko szkicuje panią Śledzińską.

WITZEWITZ (do Rakuzkiego). Zdaje się, że ta dama brała gdzieś nawet nagrody.

RAKUZKI *(nabierając znowu otuchy).* O tak! Na różnych konkursach takich! W Abbazyi, w Trouville, w Via Reggio!

KSIĄŻĘ *(podniecony, uradowany).* Czy być może? Nawet w Via-Reggio, gdzie najlepsze pływaki z Europy! Ależ to niesłychane *(fotografuje szybko).* Taka znakomitość! Eene Schwimm-Duse! I tutaj, w tym stawie dla kaczek?

HUTTEN *(z zapałem).* O teraz, jak stanęła! formalna Karyatyda! Selbst wundern sich die Flundern!

WITZEWITZ *(patrząc znacząco na Karpińską, z grymasem niezadowolenia).* Nie na mój smak ta dama... Zu vyl Fleisch hat dat Bist! *(machnął ręką).*

KSIĄŻĘ *(fotografując).* Nie bluźnij, Witzewitz! nie bluźnij! Popatrz na tę muskulaturę!

HUTTEN. Muskulatur egzemplarisz! Jakby z glyptoteki uciekła statua!... A te bicepsy! Kollosal!...

WITZEWITZ *(wzgardliwie).* Nie mój smak!... *(popatrzył łapczywie na panią Lalę).* O, nie!

KSIĄŻĘ *(z zachwytem do Huttena).* A co?... Śliczne bicepsy!... Mógłby jej pozazdrościć niejeden lejtnant z waszego garde-Regiment nr. 4.

RAKUZKI *(ucieszony).* To prawda! To prawda. Haha!...

KSIĄŻĘ *(do Rakuzkiego, zamykając aparat).* Szkoda tylko, że ani razu nie stanęła habt-acht! front!... Ja już dawno nie widziałem tak rasowej amazonki!

WITZEWITZ *(z ognistem spojrzeniem ku Karpińskiej).* Ja bo ośmielam się znać samiczki o 50 procent apetyczniejsze!

KSIĄŻĘ. Przypuszczam, że ta dama musi i w tennis grać perfekt... skoro jest pierwszą pływaczką na Bałtyku...

PANI LALA *(pospiesznie).* O nie, proszę Waszej Książęcej Mości. Jeżeli chodzi o tennisa, to najlepszą partnerką jest tamta pani... *(wskazuje na morze)* o... która właśnie wychodzi z kąpieli... *(zazdrośnie, z ironią).* Pani Śledzińska nie złączyła znów w sobie wszystkich przymiotów ideału kobiety...

KSIĄŻĘ *(z żywem przejęciem).* Gdzie? gdzie? która?

WITZEWITZ *(również z ironią). A co* do pływania to tu przecież mamy właściwego championa Bałtyku *(wskazuje szpicrutą na stojącego spokojnie Papkinda).*

PANI LALA *(wskazując księciu).* O ta... ta tutaj, pani Linowska... Już idzie się ubierać... o... Ona gra słynnie na całą Europę... Już znikła...

Papkind kłania się raz po raz.

KSIĄŻĘ *(gorączkowo).* Słynie na całą Europę?... *(odwraca się)* Linowska? I nic o tem nie mówiliście mi?... Pfui Deibel...

RAKUZKI *(skwapliwie).* Jeżeli Wasza Książęca Mość życzy sobie, zaraz ją tu poproszę.

KSIĄŻĘ *(szybko).* Nadtürlich Herr Hofrath! w tej chwili!... Niech mi pan bez niej nie wraca!... Selbstveständlich!...

Rakuzki wybiega pospiesznie w lewo.

HUTTEN *(już mocno niezadowolony, patrzy na zegarek w bransoletce).* Na ja... Dochodzi pierwsza *(zniecierpliwiony, wskazuje na Papkinda).* Wasza Książęca Mość raczył kazać wezwać tu także tego pana...

KSIĄŻĘ *(zdumiony, obejrzał się, zobaczył Papkinda, roześmiał się).* Tego?... Potz! Blitz... A to co takiego?

PANI LALA *(przekornie).* O to jest champion Bałtyku, który w maczu pływackim pobił marynarzy niemieckich! Na Helgolandzie...

Papkind kłania się raz po raz, uśmiechając się jaknajsłodziej. Ziutek przestał szkicować Śledzińską, wraca do portretowania.

WITZEWITZ *(zbliżył się do Papkinda, ostro).* Sie! durchs Gottes Unvorsichtigkeit Mensz gewordenes Vieh... Vielantrop... Kom mal her!...

PAPKIND *(zbliżając się z ukłonami).* Majne pacztienje! Majne pacztienje...

KSIĄŻĘ *(zdumiony, podniecony).* Na Helgolandzie? Is doch unglaublich... Det infusorium? Ta amfibia? *(już znów szybko nastawia aparat).*

HUTTEN *(ostro do Papkinda).* Front Fratze!... Unt wie heest tas?...

PAPKIND *(uśmiechnięty, wesoły).* Papkind... Stienka Abramowicz Papkind...

KSIĄŻĘ *(majstrując koło aparatu).* Papkind... Pap und Kind... Famos! Unglaublich!... *(do Huttena).* Cacao! notuj hrabio!

HUTTEN *(do Papkinda twardo).* Uiijepasst. Es wirt allerjnädist geknypst...

KSIĄŻĘ *(pytająco, do Huttena).* Ein Slave?

PAPKIND *(szybko dorozumiewając się).* Da, da... sławianin... U mnie maj Vaterland Litwa... Litauen...

ZIUTEK *(wyrywa się, do księcia). La singe parle parfaitement polonais...*

PAPKIND *(uradowany, obejrzał się).* Da, da... panymaju polnyś... Pan Kiełb ma racyę...

KSIĄŻĘ *(nastawiając aparat wprost na Papkinda).* Aha... Tjaja... Ala dlaczego Papkind, Papkind?...

PAPKIND *(wraz nabierając rezonu).* Tak już nazywali papę mego, proszę Jaśnie Wielmożnej Książęcej Mości *(kłania się).*

Wysoki oficer po raz pierwszy parsknął śmiechem. Wszyscy spojrzeli na niego. Znękana pani Karpińska usunęła się nieco na bok. Witzewitz, korzystając z tego, robi jej kurę w sposób demonstracyjny.

KSIĄŻĘ *(wesoło).* Na also!... A od jak dawna pan Papkind nie cierpi już na wodowstręt?... hę?...

PAPKIND *(rezolutnie).* Od dziecka proszu Waszej Książęcej Mości. Mój papa, to on do końca życia jeszcze nie bardzo lubiał wody! Ale to była dawna generacya! Otcy! Bywsze ludi... Reaki... Moja generacya, to una na złość otcom bardzo, bardzo lubi wodę... Dada... Ja mając dziesiat liet pierwszy raz się kąpał... Mając 12 lat, to jaże już drugi raz kąpał. A mając szesnaście, ja już wziął pierwszy rekord! w Edymburgu!

HUTTEN. Co? W Szkocyi?

PAPKIND. Co jest w Szkocyi? Kto mówi w Szkocyi? W naszym Edynburgu! Na Litwie!... Mając dziewietnaście, to ja wziął drugą nagrodę w Binc! W 1910 godu, to ja wziął puhar na meetingu in Odessa...

KSIĄŻĘ *(fotografując).* Schon erledigt... Aha, w Odesie!... Cacao! Notować! *(do Papkinda)* No, a to na Helgolandzie?

PAPKIND *(uradowany).* Na Helgolandzie? To Wasza Książęca Mość już wie i o tem?... No... no... Jest szię sławnym! jest! co to gadać *(jeszcze śmielej).* Na Helgolandzie, to był mój Welt-Rekord! na trwałość.

KSIĄŻĘ *(gorączkowo).* Nanu!... jaki?...

PAPKIND *(powoli rozejrzawszy się dokoła).* Cztery godziny... cztery godziny 53 minuty, 53 minuty, osiemnaście sekund... *(pauza, dumnie)* 56 węzłów!...

Wśród oficerów zdumienie. Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Nawet Witzewitz przestał flirtować. Chwila ciszy.

KSIĄŻĘ *(z adoracyą).* Sacrebleu! Donner und Doria! Himmel-Herzgott-Sakrament! 56 węzłów *(wyciąga doń rękę serdecznie).* Famos!... Ich gratuliere Ihnen *(wyciągając papierośnicę).* Herrlich *(częstując go papierosem).* Zigarre gefällich!...

PAPKIND *(jeszcze popatrzył dumnie dokoła, wyciągnął rękę do księcia, wziął papieros, wstrząsnął kilkakrotnie kordyalnie ręką księcia).* Da, da... Merçis... Merçis... Potemu było na distancju, na distancju!... Stawało pięciu marynarzy z yachtu cesarskiego *(chowa papieros do kieszeni).*

KSIĄŻĘ *(cały wsłuchany).* Na... na...

Skupili się koło niego: Donnerssburg stanął z prawej i patrzy weń z admiracyą. Witzewitz zapomniał całkiem o pani Lali. Ziutek przestał rysować, słucha.

PAPKIND *(powoli, cedząc).* Pobiedił wsiech! sołł ich gezund zajn... Sto metrów... minuta, 17 i pół sekundy...

Jest kompletna cisza. Oficerowie powtarzają zdumieni: 17 i pół! 17 i pół sekundy. Na Na!

KSIĄŻĘ OTTO *(głęboko wzruszony).* Minuta, 17 i pół sekundy! Chapeau bas! Voila un homme, messieurs! Kollosall!... Janz kolossal!... Fabelhaft...

Wszyscy oficerowie ściskają kolejno rękę Papkindowi.

PAPKIND *(wzruszony).* Merçis. Thank You! Merçis! Merçis !Haraszos!

KSIĄŻĘ *(uroczyście).* Oto macie, moi panowie! Oto dlaczego dom Gelsenkirchen-Recklingshausen faworyzuje so eminent diese Sorte von Semi-Menschen! Minuta, 17 i pół sekundy! Donnersburg! Hasts gehört?... Widzicie panowie teraz, do czego mogą doprowadzić ci ludzie, jeżeli już zdołali do tego rekordu zwyciężyć w sobie dziedziczne obciążenie hydrofobią, rasową hydrofobią! *(jeszcze raz wyciąga rękę do Papkinda).* Ja gratuluję panu jeszcze raz mister Papkind!... Sie sind cin Schwimm-Caruso!

PAPKIND *(wstrząsając dłonią księcia swobodnie).* Proszę bardzo... Bardzo proszę... Proszę się nie żenować! Wasza Książęca Mość ma najkompletniejszą racyę! Vous avez raison... My, sławiani, jesteśmy urodzonymi championami...

Witzewitz cofa się już do Karpińskiej. Donnersburg mocno skrzywił się, ociera rękawiczkę chustką, poczem nawet zdejmuje rękawiczkę, chowa).

PAPKIND *(coraz swobodniej, już oparł się o stół).* A na pływaka to się trzeba tak samo już urodzić, jak trzeba być urodzonym z natury pianistą, coby być championem fortepianu! *(protekcyjnie)* Wasza Książęca Mość ponimajet?... verstanden? hę?...

KSIĄŻĘ. Ja, ja! Janz ihrer Meinung! *(wesoło).* Kto niby się jeszcze nie urodził, ten nie może principiel!... Ja... ja...

Hutten już od chwili nieco zirytowany, krzywił się z obrzydzenia w niemiłosierny sposób, wreszcie wziął pod rękę Donnersburga i coś się naradzają. Teraz wrócili obaj i stają obok.

PAPKIND *(nie słuchając go, swobodnie).* I w tem trzeba, proszę ja Waszej Książęcej Mości, słuchać ślepo swojego istinnego instynktu, swojego zwierzyncego instynktu! *(swobodnie się rozparł).* Niet rozum, niet intełekt! Na to wsio naplewat!... *(macha rękami dokoła).* A instynkt... *(szeroko).* Mnie, trzeba to wiedzieć Waszej Książęcej Mości, rozum mówił: Papkind gołubczyk! nie idź ty w wodu! No intuicion, instynkt, to on mi mówił ganz vis-à-vis: „trenuj się w wodzie, Papkind! choć się boisz, nie bój się wody! Twoja karyera, to jest ino wodny element! Wasserelement! Ty w wodu możesz zrobić interes!... business!... Panimajetie, Wasza Książęca Mość?...

KSIĄŻĘ OTTO *(słucha bardzo cierpliwie, zmrużył tylko jedno oko i powoli zapala papierosa).* Ja... Sehen Se... sehen Se!... So... so...

DONNERSBURG *(kładąc rękę ciężko na ramieniu Papkinda).* Schon jenuch! Quatsch! drecketer *(ochrypniętym głosem, ostro).* Kann schon Maul halten! Zamałczi Antropoida!...

Papkind lekko się spłoszył, skulił, ale wraz odsunął się i odzyskuje rezon.

PAPKIND *(impertynencko).* Co będzie? Ja taki jeszcze nie okończył resume, gaspadin adjutant!

Donnersburg zasłonił sobą Papkinda.

HUTTEN *(patrząc na godzinę, do księcia).* Ośmielam się zwrócić uwagę, że dochodzi godzina pierwsza *(półgłosem).* Für tiese Weltjegenden wyrt schon bisken zu vyl denk ych?...

KSIĄŻĘ *(machnąwszy ręką).* Noch een bisken! Lassens noch! Det Trottel schwatzt doch ultradrollich.

W drzwiach z prawej staje niespodziewanie pani Linowska z kapeluszem i rakietą tenisową w ręku, z mokremi jeszcze włosami. Za nią zziajany, spocony radca Rakuzki.

KSIĄŻĘ *(do Papkinda łaskawie).* Na also!... Więc tak radziła panu intuicya?... Dobrze radziła?...

Rakuzki zbliża się z panią Linowską.

PAPKIND *(kiwa głową, nabrawszy znów otuchy).* Dada.. .da... Intuicya! Tolko intuicya...

KSIĄŻĘ *(innym tonem).* No, a inne sporty, jak? Hę?... Tennis pan Papkind egzekwuje?

PAPKIND *(jakby nie dosłyszał, drwiąco).* Czto takoje? Tennis?

RAKUZKI *(chcąc zwrócić uwagę księcia, wskazuje ręką na panią Linowską).* Oto więc proszę Waszej...

KSIĄŻĘ *(do Papkinda grzecznie).* Ja... ja!... Tennis.

PAPKIND *(rozejrzał się dokoła wzgardliwie).* Tennis u menia?... Nie. Tennis to ja ostawlaju analfabetom sportu! subiektom od Bergsohna z Gdańska, polskim damom z Warszawy... To nie maj bussiness...

Konsternacya na całej linii. Oficerowie spojrzeli po sobie przerażeni i wprost bezradni.

KSIĄŻĘ OTTO 29 *(zbladł lekko, zmarszczył się, chrząknął, poprawia sobie mundur, z uśmiechem).* Na schau, schau!... Drolliche Bestje... Spassich... Janz spassich! *(do oficerów sztywnie).* Aber schon erledicht *(odwraca się do Rakuzkiego, z wymuszoną swobodą).* A to ta pani, zdaje się?

Oficerowie zasłonili sobą szybko Papkinda.

DONNERSBURG *(syknął przez zęby).* Abzuch Canalie! *(wskazał na drzwi z lewej).* Paszoł won lid!

HUTTEN *(wściekły).* Marsz von hier! *(zamachnął szpicrutą).* Weg... mit Tir Hamadryas.

PAPKIND *(zbladł, zgłupiał doszczętnie, stracił odrazu całą arogancyę, skurczył się, zmalał, jeszcze raz próbuje postawić się).* Nu, cztoż będzie? Co się stało?... *(ale cofa się ku drzwiom z prawej).*

WITZEWITZ *(przez zęby).* Raus sztinketes Ass tu!... Raus!... Mach tas tus weiter kommst...

RAKUZKI *(równocześnie do księcia).* Tak proszę Waszej Książęcej Mości... Otóż właśnie pani Linowska, która wygrała w zeszłym roku w Baden-Baden!

Pani Linowska zarumieniona, ale rezolutna, kłania się.

KSIĄŻĘ OTTO *(wzruszony).* Ależ widzę... Poznaję... Zaraz poznałem. Damen-Meisterschaft... Pamiętam pani fotografię w Sport-zeitung... Doskonale pamiętam. Wyciąłem ją sobie *(wyciąga do niej rękę serdecznie).*

Papkind wreszcie straciwszy wszelką nadzieję, pomyka skulony do drzwi z lewej. Donnersburg postąpił jeszcze za nim ze trzy kroki; tupnął nogą, świsnął szpicrutą.

PAPKIND. I am sorry... Tak skazał! Niczewos... Winowat... Pardons... Excuse!

Ziutek, który obserwował to wszystko, parsknął sobie teraz wesołym śmiechem.

Witzewitz wraca znów nałogowo do zignorowanej pani Lali.

Rakuzki staje przy Linowskiej, rozpromieniony, szczęśliwy.

LINOWSKA *(snać pochlebiło jej).* O to dla mnie zaszczyt nielada! Dziękuję Waszej Książęcej Mości.

KSIĄŻĘ *(już z całym impetem zainteresowania).* Nigdy nie przypuszczałem, że panią wogóle kiedy będę miał okazyę poznać! To prawdziwie szczęśliwy dzień dla mnie! Janz himmlisch... janz himmlisch!...

LINOWSKA *(z naturalnym wdziękiem).* Ja też słyszałam znowu, że Wasza Książęca Mość gra doskonale...

KSIĄŻĘ *(skromnie).* Ja? O tak sobie... passabel... Smeszuję jako tako!... Trenuję się czwarty rok... Jakie pani ma rakety? *(wyciąga rękę po rakietę).*

LINOWSKA *(oddając 29-temu rakietę).* Dooherty, proszę Waszej Książęcej Mości. Zawsze gram tylko Doohertami!

KSIĄŻĘ *(odetchnął, wesoło).* Na also! Gottseidank... Reicend... Ja tak samo. A już się obawiałem, że panią tu namówili na nasze Schlezyngiery *(ogląda rakietę).* Janz smart... janz smart... Sport artikel *made in Germany* to tandeta... pfui Deibel! Wie meenens?

HUTTEN *(dając widoczne oznaki zniecierpliwienia, znów ostentacyjnie popatrzył na zegarek).* Ja... ja...

LINOWSKA. O tak! Istotnie!... Ma Wasza Książęca Mość racyę. Jabym nie potrafiła nawet halbwolejować niemiecką rakietą.

KSIĄŻĘ OTTO *(machając rakietą).* Prawda? Ja także, ja także... *(nagle rozpromieniony, jakby mu jakiś pomysł zaświtał w głowie).* Tjaja... Pozwoli łaskawa pani! Ja mam pewną ideę *(oddaje jej rakietę)* von Hutten! my mamy teraz Kino? Tak?...

HUTTEN *(stając w pozycyi).* Tak proszę Waszej Książęcej Mości... Punkt pierwsza... Potem Kasino.

KSIĄŻĘ OTTO. Aha!... Soso... A co w Kinie?

HUTTEN *(czytając z notatnika).* „W jaskini opiumistów", „Ścięta głowa w brzuchu wulkanu", „Ślub Asty Nielsen z Maxem Linderem w katedrze św. Piotra i Pawła w Rzymie" i „Jego Cesarska Mość Wilhelm II zwiedza Menażeryę Hagenbecka w Hamburgu.

KSIĄŻĘ OTTO. Na also Kinderchen! to nic ciekawego... Ciągle to samo! zum Wahnsinnich werden... *(energicznie).* Ja dzisiaj rezygnuję i z jaskini opiumistów i z brzucha wulkanu *(energicznie do Linowskiej).* I ja mam do łaskawej pani wielką, wielką prośbę...

Hutten i Donnersburg, zdziwieni i zniecierpliwieni, patrzą to na siebie, to na księcia.

LINOWSKA *(zdumiona).* Ależ pro-

szę Waszej Książęcej Mości! O cóż idzie?

KSIĄŻĘ *(przymilająco).* Niech mi pani zrobi jedną wielką łaskę... jeden wielki zaszczyt i niebywałą przyjemność! Niech mi pani nie odmówi tego!... *(odwrócił się i zrobił już dwa kroki w kierunku drzwi z prawej, do Rakuzkiego).* A Herr Hofrat, niech moją prośbę do madame Linowskiej zaprotegują...

RAKUZKI *(zaambarasowany, uniżenie).* Ależ proszę Waszej Książęcej Mości! Naturalnie! Przecież nie zachodzi żadna przeszkoda.

KSIĄŻĘ *(do Linowskiej poważnie).* I ja tak myślę... Tak... I ja panią bardzo proszę *(pochylił się, całuje Linowską w rękę).* Ja panią bardzo proszę o jedną partyę tennisa... Teraz zaraz!... Dobrze?...

Rakuzki kiwa pospiesznie głową do Linowskiej, zachęcając, by się zgodziła.

LINOWSKA *(mocno zarumieniona, spojrzała na zegarek w bransoletce skórzanej).* Teraz? Zaraz teraz?... Kiedy ja nie wiem, jak ja jestem z czasem...

RAKUZKI *(pobladł, zaniepokojony, patrzy na nią błagalnie).* Pani złota! Przecież chwilę czasu pani znajdzie! kwadransik...

KSIĄŻĘ. Króciutką partyjkę... o cztery gemy! no o trzy gemy... przynajmniej!... Niech mi pani to zrobi!

LINOWSKA *(do Rakuzkiego).* Ależ i owszem... *(zażenowana nieco).* Tylko... tylko ja o tej godzinie właśnie... *(do księcia).* Bo ja mam małą dziecinę...

KSIĄŻĘ. Hab nyszt dajegen! Nyszt dajegen... Baby będzie się przypatrywało...

LINOWSKA. Ach nie! To jest bardzo małe jeszcze. Trzeci miesiączek... No i ja sama właściwie... tego... zwykle o tym czasie punktualnie dostaje...

KSIĄŻĘ *(ucieszony).* Reicend!... Zu reicend!... Rührend! Einfach rührend! Ato szczęśliwe małe Baby! Ilu to dorosłych musi mu zazdrościć! O Gottogottogott!... No, ale raz przecież można spóźnić się... Baby tylko nabierze apetytu! Będzie potem wie eine hydraulische Pumpe... A ja, widzi kochana pani, mam już jutro manewry dwóch korpusów! Tyle sztrapaców! Tyle pracy! komedyi! Niech mam to miłe wspomnienie, żem grał z championem z Baden-Baden.

LINOWSKA. Ależ owszem. Proszę.. Pół godziny mogę Waszej Książęcej Mości poświęcić. Tylko się spieszmy... *(idzie pierwsza energicznym krokiem ku drzwiom z prawej).*

KSIĄŻĘ *(uradowany, chwyta ją za rękę, ściska).* Dziękuję! Tysiąc razy dziękuję. Zu jütig! zu nett... *(do Witzewitza).* Witzewitz... pan grasz z nami... *(zapominając o wszystkiem).* Co za szczęśliwy przypadek... Prachtvoll... Famos *(do oficerów).* Nanu Kinderchen! Jetzt gehts los... *(szybkim krokiem zmierza za panią Linowską).*

Wszyscy wstali i składają głębokie ukłony. Witzewitz pospiesznie pożegnał się z całkowicie poniechaną panią Karpińską. Donnersburg i Poradowsky idą tuż za nim. Rakuzki z kapeluszem w ręku otwiera szeroko drzwi szklane.

Ziutek obrażony, zapomniany, ani drgnął; siedzi dalej i maluje.

Dokoła Guckkastenu słychać okrzyki i ryki: Hoch! Hoch! Hurra!! *Orkiestra gra drugi hymn narodowy „Gelsenkirchen über alles". Zbity tłum golców i nagusów w kostyumach stanął u szklanej ściany, przylepiając wprost twarze do szyb. Policyant zaryl się w piasku i salutuje.*

KSIĄŻĘ OTTO 29 *(zatrzymał się jeszcze przy drzwiach i do radcy, serdecznie).* Aha... Herr Hofrath... Dowidzenia z panem!... Dziękuję mu za madame Linowski bardzo!... za protekcyę... Habdank!... Habdank!... Dzisiaj wieczorem po tej partyi będę mógł sobie śmiało powiedzieć... jak ten rzymski Cesar: Diem... Diem... tego... no... *(podaje mu rękę).* Diem schon erledigt!...

RAKUZKI *(podpowiadając).* non perdidi... *(kłania się głęboko).* I ja także...

KSIĄŻĘ OTTO. Na also! Zu charmant! zu charmant!... Au revoir... Morjen! Sie Habsburg-Kariatide! Hehehe!... *(wychodząc).* Ade... *(salutuje).*

Kurtyna wolno spada).

DCN.

MĄKA MLECZNA

Najodpowiedniejsza odżywka dla ssawców i słabow. dzieci. MAGISTRA KLAWE *Skł. gł. Pl. św. Aleks. 10. Apt. 10.*

Magazyn i pracownia ubiorów dziecinnych i damskich

MARYA ZYGNERSKA

Warszawa, Ś-to Krzyska № 14, róg Włodzimierskiej. Tel. 287-88.

Poleca Fartuszki i mundurki pensyonarskie oraz wyprawy dla niemowląt. Przyjmuje obstalunki z własnych i powierzonych materyałów Wyroby trykotowe. Ceny umiarkowane.

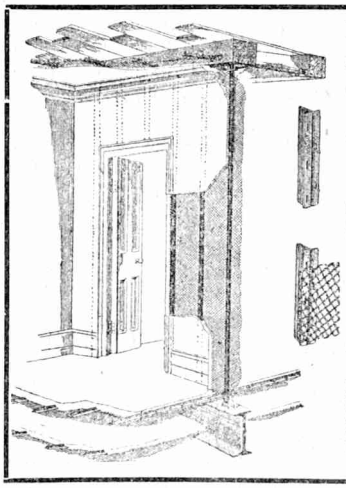

Ważne dla P. p. Budowniczych, Właścicieli domów, Przedsiębiorców, oraz Majstrów murarskich

W. Jankowski i S-ka

Warszawa, Marszałkowska 130.

Telefon 148-72

Polecają:

PATENTOWANE METALE ROZCIĄGANE ORAZ PRĘTY STALOWE DO WSZYSTKICH ROBÓT BUDOWLANYCH, JAK: DACHY, SUFITY, ŚCIANY DZIAŁOWE, STROPY BETONOWE, PRZEPIERZENIA WEWNĘTRZNE I POKRYCIA ZEWNĘTRZNE BUDYNKÓW DREWNIANYCH.

Konstrukcye lekkie i ogniotrwałe.

Polecają również:

POSADZKI DĘBOWE Z KLEPEK I TAFLI KRAJOWEGO WYROBU W GATUNKU WYBOROWYM PO CENACH NAJNIŻSZYCH. Towar zawsze na składzie. Katalogi, wszelkie informacye oraz referencye na żądanie.

MEBLE

Zakład Dekoracyjno-Tapicerski i Stolarski

A. STRÓMIŁO Al. Jerozolimska 70. Telefon 29-99.

Całkowite urządzenia lokali lub pojedyncze sztuki. **Ceny nizkie.**

ZEGARKI

„OMEGA"

ZŁOTE, SREBRNE i STALOWE.

9342

Dostać można w lepszych składach zegarmistrzowskich w Warszawie.

APARAT ELEKTRYCZNY DO DEPILACYI WŁOSÓW.

Firma L. M. BAGIŃSKI dokonała ciekawego wynalazku. Zarost na brodach damskich oraz niepożądane owłosienie ciała wyniszcza się bez śladu, z korzeniami. Aparat zaczyna działać po naciśnięciu guziczka, i zaraz włosy wypadają i korzenie giną. Nowe włosy nie mogą wyrosnąć na tem miejscu. Za zupełne powodzenie firma poręcza zwrotem pieniędzy. Aparat może używać każdy, bez najmniejszego przygotowywania. Koszt jego 5 rb., w lepszym gatunku 8 rb. Z zamówieniami zwracać się do specyalisty: **L. M. Bagińskiego, Ryga 40, ul. Romanowska 29.** Instytut w Berlinie i Paryżu.

Drukowano farbą z fabryki W. Karpińskiego i W. Lepperta, w Warszawie.

Дозволено Военною Цензурою. Варшава, 4 сентября 1914 года.

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.